WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 144 2 GRUDNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

● V Międzynarodowy finał Wakacyjnego Turnieju Piłki Nożnej o Puchar „Świata Młodych" zakończony.

● Forwörts Frankfurt n/Odrą – Tęcza Rytel 6:1!

● Przegrana, lecz w stylu, który nie przynosi wstydu.

HONOROWA PORAŻKA W REWANŻU

Zwycięzca krajowego finału WTPN, zespół Tęcza Rytel rozegrał w NRD rewanżowe spotkanie z drużyną trampkarzy klubu sportowego Forwörts Frankfurt nad Odrą. Nasi zawodnicy w pierwszym spotkaniu rozegranym w Płocku ulegli swoim rówieśnikom z NRD 0:2. Relację z meczu rewanżowego przeczytacie na stronie 4.

Zdjęcie: K. Adamowski

35 milionów złotych wypracowali harcerze

PÓŁ MILIARDA ZŁOTYCH zebrano już na CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

Harcerze ze Szczepu 121 im. Ludowego Wojska Polskiego z Hufca Warszawa—Żoliborz w Międzylesiu na terenie budowy Centrum Zdrowia Dziecka złożyli meldunek wicepremierowi Alojzemu Karkoszce o przekazaniu kolejnej wpłaty na CZD. W uroczystości uczestniczyli: Przewodniczący Komitetu Budowy CZD — min. Janusz Wieczorek i min. budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych — Adam Glazur.

Pierwsza harcerska wypłata wpłynęła w lutym 1968 r. trzy lata później Związek Harcerski objął patronat nad tą budową.

Dziś harcerski patronat przynosi efekty: ZHP zebrał już na tę budowę 35 mln zł. Jest to harcerski czyn na VII Zjazd Partii. Łącznie na koncie Centrum Zdrowia Dziecka zgromadzono ponad pół miliarda złotych, na koncie dewizowym jest około 2 mln dolarów. **(ew)**

Kto najlepszy?

Patrole MSR wyruszają na ulice!

Zielona Góra (HSI). W tych dniach rozpoczyna się w województwie zielonogórskim konkurs o tytuł najlepszej drużyny Młodzieżowej Służby Ruchu. 43 drużyny zapoznane z problematyką ruchu drogowego, podejmą specjalne zadania zależne od warunków pogody. Zimą patrole MSR będą doglądać lodowisk i torów saneczkowych. Poza tym będą pełnić służbę na przystankach autobusowych, dopilnują bezpieczeństwa przy dojazdach do gminnych szkół zbiorczych. Pomogą również nauczycielom przy organizowaniu szkolnych wycieczek dla najmłodszych. W czasie tej akcji drużyny MSR będą korzystać z pomocy milicjantów ze służby ruchu drogowego. **(ach)**

Popielów — contra Domy Towarowe!

WIELKI POKAZ MODY MŁODZIEŻOWEJ

POPIELÓW (HSI). Zastęp 1 ze Szkoły Podstawowej w Popielowie urządził niedawno wspaniały pokaz mody. Do obejrzenia młodzieżowej kolekcji zaproszono na dużej przerwie wszystkich uczniów. W strojach uszytych własnoręcznie na zbiórkach, zastęp prezentował się znakomicie.

Małgorzata Możdzioch

ROWER NA RESORACH

Jazda łatwa, lekka i przyjemna

SZCZECIN (PAP). Mieszkaniec Szczecina – KAZIMIERZ BĄCZEK wynalazł niewielki i lekki resor do roweru, amortyzujący wstrząsy powodowane przez nierówności terenu. Wynalazek warto chyba polecić znanym Zakładom Rowerowym w Bydgoszczy, chętnie wykorzystującym tego rodzaju nowinki w swojej produkcji. (bis)

Lotne popioły z elektrowni RYBNIK uzyskują w kopalniach twardość betonu

Około 500 tys. ton popiołów lotnych, pochodzących ze spalania przerostów i mułów węglowych, wychwytują co roku potężne elektrofiltry, zainstalowane w elektrowni RYBNIK. Stanowią one cenny surowiec dla przemysłu materiałów budowlanych, bowiem z racji właściwości wiążących stosowane są jako domieszka do cementu.

Popiołami lotnymi zainteresował się też ostatnio przemysł węglowy. Prowadzone są badania nad możliwością wykorzystania ich jako materiału podsadzkowego. O ile prowadzone w tym zakresie próby wypadną pomyślnie, już niedługo do wyrobisk górniczych dostarczać się będzie wyłapane popioły, które w połączeniu z naturalnymi wodami kopalnianymi uzyskać mogą twardość betonu. **(mt)**

Dziś przedstawiamy:

RADIO I TELEWIZJA

Piętnaście lat temu utworzono Komitet do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i TV". Ale datę narodzin polskiego radia przyjmuje się już w dniu 1.II. 1925 r., kiedy popłynęły w eter historyczne już dziś słowa: „Tu próbna stacja radionadawcza Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego w Warszawie, fala 385 metrów..." Skromne były początki: emitowano program przez godzinę lub dwie na dobę – i to nie codziennie. Po wojnie polska radiofonia zaczynała znowu od zera. W sierpniu 1944 r. pierwsza radiostacja w Polsce, o mocy 10 kW, zwana popularnie „Pszczółką", nadała program z Lublina. W marcu 1945 r. „Pszczółkę" przetransportowano do Warszawy. Parę miesięcy później podjęły pracę rozgłośnie w Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Bydgoszczy, Gdańsku i Łodzi, potem w innych miastach.

Takie były początki. Dziś program centralny Polskiego Radia nadawany jest na falach długich, średnich i UKF przez 62,5 godziny codziennie. Oprócz tego rozgłośnie lokalne nadają od 2 do 4 godzin. Nadajemy programy w języku polskim i 12 językach obcych. Mamy w kraju ponad 6 milionów radioabonentów, słuchaczami radia jest jednak każdy, zwłaszcza że program I PR obejmuje swym zasięgiem cały kraj i emitowany jest w tym roku przez 24 godziny nieprzerwanie.

Dwadzieścia lat temu pojawia się w naszym kraju nowa muza: telewizja, która pierwszą audycję, dla nielicznych zresztą posiadaczy telewizorów nadała w lipcu 1954 r. Rodowód polskiej telewizji jest jednak dłuższy. W 1938 r. została uruchomiona pierwsza stacja eksperymentalna, która wznowiła swoją działalność doświadczalną po wojnie w 1952 r. Inauguracyjny program w dwa lata później, został nadany ze studia, mieszczącego się w stolicy na najwyższych piętrach hotelu „Warszawa". W 1956 r. zainstalowano nadajnik telewizyjny z Pałacu Kultury i Nauki, rozpoczął również pracę ośrodek w Łodzi, potem w Poznaniu i Katowicach. Nowa era telewizji zaczyna się w 1969 r. wraz z przeprowadzeniem do wielkiego, nowoczesnego centrum przy ul. Woronicza. Według ostatnich danych mamy 6 mln zarejestrowanych telewizorów, a programy telewizyjne odbiera około 92 proc. ludności kraju. Mamy siedem ośrodków telewizyjnych, ponadto najwyższy maszt radiowy (640 m) w Gąbinie z zainstalowanym nadajnikiem o mocy 2000 kW oraz stację łączności satelitarnej w Psarach. (ew)

Amerykańskie zapiski (6)

POLACY czy AMERYKANIE?

Rokrocznie jesienią organizowany jest w Doylestown Polski Festiwal. Gromadzi on przez dwie niedziele kilkadziesiąt tysięcy Polonusów, oglądających występy polskich zespołów folklorystycznych i wystawy, uczestniczących w zabawach typu festynowego.

Hall sali teatralnej przed koncertem „Gawędy". Przybyła na występ publiczność stoi grupkami. Takie polskie „show" – to jednocześnie okazja do towarzyskich spotkań ludzi, którzy często dość długo się nie widzieli. Stąd powitalne okrzyki, gwar, ożywione rozmowy. Słyszy się prawie wyłącznie język polski. Dość czysty – z niewielką domieszką słów angielskich, wśród których przede wszystkim króluje odpowiednio melodyjnie wymawiane „o'kay", zastępujące w Stanach w różnych sytuacjach dziesiątki innych wyrażeń.

POLONUSI

Ta swoboda posługiwania się językiem polskim zaskakuje. Są tu przecież i przedstawiciele najstarszej polskiej emigracji przybyłej do USA „za chlebem". Tzw. grynole. Przezwanie ma swoje źródło w angielskim wyrażeniu „green horn", stanowiącym odpowiednik naszego „żółtodzioba" i lekceważące znaczenie. Są ci, których zawiłe losy rzuciły tu po drugiej wojnie światowej. „Dipisi". Od angielskiego terminu „displaced persons", osoby przesiedlone, którym pogardliwie określano zbałamuconych przez zachodnią propagandę ludzi, obawiających się po wojnie powrotu do kraju. Są i ci, którzy z różnych powodów znaleźli się tu w ostatnim trzydziestoleciu.

Spacerując wśród tego polskiego gwaru, czuję się człowiek jak w Polsce. Wrażenie to potęgują polskie wzruszenia w czasie koncertu, kiedy słowa piosenki lub inscenizowane obrazy potrącają w patriotyczną strunę.

Ale nie należy ulegać pierwszemu wrażeniu. Ci, którzy przyszli na koncert, czują się oczywiście przywiązani do swego polskiego pochodzenia. Tymczasem w Buffalo szacuje się Polonię na ok. 250 tys. osób, w Cleveland na ok. 100 tys. A w koncertach uczestniczyło po kilkuset widzów. W Chicago, największym skupisku ludności polskiego pochodzenia, Polonusów jest ponad 600 tys. W koncertach wzięło udział kilka tysięcy. Zapewne nie wszyscy, w których słowo „Polska" budzi żywsze uczucia, ale zestawienie liczb jest wymowne.

Bo – co tu mówić – ludność polskiego pochodzenia, podobnie jak i innych narodowości, w miarę upływu czasu asymiluje się. Staje się Amerykanami. Na sposób myślenia i postępowania człowieka decydujący wpływ mają przecież warunki życia.

Jak się liczy w statystykach, Amerykanów polskiego pochodzenia jest ok. 6,5 miliona. Niespełna jedna dziesiąta z nich urodziła się w kraju. Pozostali – to już synowie, wnuki, prawnuki polskich emigrantów. Ankieta przeprowadzona wśród młodzieży z Chicago i okolicy wykazała, że zaledwie ok. 4 tys. mówi w domach po polsku.

MOZAIKA

Jechałem przez peryferyjne dzielnice Toronto, stolicy kanadyjskiej prowincji Ontario. Ciągnące się milami ulice parterowych lub jednopiętrowych domków. Mozaika narodowościowa rzuca się w oczy. Nie trzeba przewodnika, żeby się zorientować, że to właśnie dzielnica włoska, portugalska, żydowska, polska... Nazwiska na szyldach, nazwy narodowych potraw lub produktów w oknach wystawowych restauracji i sklepików spożywczych – mówiły same za siebie.

W Stanach przemieszczenia wewnątrz miast nieco zmąciły już ten obraz. Widziałem wprawdzie takie polskie ulice w Chicago i Buffalo, ale np. w Cleveland, w dzielnicy zwanej dawniej Kazimierzowo, od patrona polskiej parafii, dziś w większości mieszkają Murzyni.

Ale ludność Stanów stanowi też taką mozaikę etniczną. Do największych grup etnicznych należą Murzyni (23 mln), potomkowie byłych niewolników przywożeni tu przemocą z Afryki, Włosi, Niemcy, Żydzi, Polacy, Irlandczycy. Ludność pochodzenia anglosaskiego, mówiąca językiem angielskim, który przyjął się powszechnie w tym kraju, wcale nie stanowi większości. Te grupy etniczne stanowią właśnie społeczeństwo amerykańskie, wszyscy oni są Amerykanami.

Odwiedziłem polską rodzinę, która mieszka w Stanach od kilkunastu lat. Pan domu prowadzi polski zespół artystyczny, uczy w sobotniej szkółce przedmiotów ojczystych, czuje się Polakiem. Ale w Stanach już się urządził, przejmując spadek po rodzicach. Najstarszy syn studiuje w jednej z wojskowych akademii. Motyw wyboru uczelni był prozaiczny – najtańszy kierunek studiów. Wątpliwe jednak, aby poszedł w ślady ojca. Jego młodsza siostra, uczennica „high school", była już dwa razy na obozach w Polsce, jest zachwycona krajem...

A JEDNAK...

Spotkałem polskich księży rzymsko-katolickich i narodowego kościoła polskiego, którzy prowadzą naukę języka polskiego w szkołach sobotnich, utrzymują polski język w kościołach, organizują polskie imprezy w parafiach i pielgrzymki do kraju. Lecz zwarte skupiska Polonii wokół starych polskich parafii należą coraz bardziej do przeszłości. Nie pozostaje to bez wpływu na tę działalność. W wielu prywatnych szkołach parafialnych w wyniku zmiany składu uczniów zrezygnowano z nauki języka polskiego.

W dwóch miastach spotkałem się z prowadzącymi sobotnie szkółki przedmiotów ojczystych, zorganizowane przez Związek Narodowy Polski. W jednej z nich usunięto nauczycielkę, która w czasie pobytu w kraju zaopatrzyła się w podręczniki w Towarzystwie „Polonia". W drugim dwie szkółki zaopatrują się z tego samego źródła i nikt nie ma o to do nich pretensji.

Zwiedzałem kilkanaście polskich domów i klubów prowadzonych przez różne polskie organizacje lokalne. Niektóre z nich ograniczają działalność do organizowania zabaw, wynajmowania sal na występy, wesela... Inne prowadzą polskie zespoły artystyczne, organizują patriotyczne wieczorki.

Jest w Stanach sporo – może zbyt szumnie zwanych – biur podróży, zajmujących się organizacją wycieczek do Polski, impresariów sprowadzających polskie zespoły, „businessów" pośredniczących w wysyłaniu paczek do kraju, polskich lokali rozrywkowych, polskich sklepów. W tym wypadku propagowanie Polski wiąże się bezpośrednio z własnym interesem. Dla sprawy polskości na pewno pożytecznym.

Trudno dać więc jednoznaczną odpowiedź, kto ma największe zasługi w pielęgnowaniu polskości. Bliskie więzi Polonii z Polską potrzebne są nie tylko nam, np. dla rozwijania coraz żywszych stosunków gospodarczych i kulturalnych ze Stanami. Poczucie więzi z krajem potrzebne jest w równym stopniu Polonusom. I to nie z jakąś Polską w ogóle, ale z krajem, który odnosi sukcesy, liczy się w świecie. Bo to pomaga im utwierdzać się w przekonaniu o ich własnej wartości.

JERZY MAJKA

Zdjęcia:
autora i A. Boguckiego

Koniec ery Franco?

11 dni temu zmarł FRANCISCO FRANCO Y BAHAMONDE, dyktator Hiszpanii od prawie 40 lat. Mało kto zapłakał z tego powodu. Może tylko szef junty chilijskiej, Pinochet, który przybył wraz ze swą świtą na uroczystości pogrzebowe. Franco wreszcie umarł i wraz z nim odszedł ostatecznie do historii okres panowania dyktatorów w Europie. Ale czy Hiszpania wejdzie w erę swobód demokratycznych? Trudno jeszcze dzisiaj na to pytanie odpowiedzieć.

Franco doszedł do władzy, tłumiąc w latach 1936–39 Republikę Hiszpańską. Sam nie byłby do tego zdolny. Znajdował się z dala od kraju, w Maroku. Ale usłużni kompani, Hitler i Mussolini, pospieszyli mu z pomocą. Dostarczyli samolotów, które przeniosły jego wojska do ojczyzny, by zdławić opór republikanów. Hitlerowcy dodatkowo pomogli jeszcze zbombardować hiszpańskie miasta. I tak w 1939 r. Franco ostatecznie zaczął swoje rządy.

Tylko między kwietniem 1939 r. a czerwcem 1944 r. jego trybunały wojskowe skazały na śmierć przeszło 192 tys. osób, a wszystkie nakazy egzekucji podpisane były jego własną ręką. Można powiedzieć, że lubował się w aktach terroru. Jeszcze we wrześniu tego roku, kiedy sam ledwo trzymał się przy życiu, skazał na śmierć pięciu antyfaszystów. Własnoręcznie podpisał wyroki. A przecież musiał sobie zdawać sprawę, że to już w niczym nie uratuje ani jego, ani jego polityki.

„Franco był człowiekiem – powiedział po jego zgonie jeden z hiszpańskich komunistów — który nigdy nie miał kontaktu z narodem. Satysfakcję czerpał jedynie z tego, że nad nim panuje. A najbardziej namacalnym tego dowodem było to, że był panem życia i śmierci wszystkich Hiszpanów. I czerpał z tego sadystyczną radość. Cieszył się z tej wszechwładzy, by nie zacząć się bać..."

Przeciwników reżimu jest wielu. Przede wszystkim Komunistyczna Partia Hiszpanii, która liczy wielu członków i sympatyków, a także ma dobrze zorganizowane delegatury krajowe. Są i inne ugrupowania, pragnące liberalizacji stosunków wewnątrzpaństwowych — od sił lewicowych do zwolenników monarchii. Od ich spoistości zależy oczywiście wiele. Niedawno ogłoszono w tej sprawie wspólną odezwę do narodów Hiszpanii. Pisze się w niej przede wszystkim o zdecydowanym sprzeciwie wobec kontynuowania systemu frankistowskiego. O konieczności przeprowadzenia referendum w sprawie wyboru przez naród formy rządów, o natychmiastowym uwolnieniu więźniów politycznych, pełnym przywróceniu praw ludzkich i szanowaniu swobód demokratycznych, w tym swobody działania wszystkich partii politycznych, a więc i dla KPH. Odezwa ta żąda również praw do autonomii dla Basków, Katalończyków i Galicyjczyków, których wiele tysięcy posłał na śmierć znienawidzony dyktator.

Generałowi Franco nie wystarczało, że sam przez tyle lat sprawował władzę w Hiszpanii. Faszystowskie rządy starał się przedłużyć na czasy, gdy jego już nie będzie. Odebrał więc najpierw JUANA CARLOSA, księcia z dynastii burbońskiej, rodzinie i sam sprawował opiekę nad jego wychowaniem. Ten trzydziestoparoletni książę ma zapewnić ciągłość polityce przemocy wobec narodu, jego bowiem Franco przeznaczył na króla Hiszpanii.

Juan Carlos został już królem. Ogłosił nawet kilka nieśmiałych dekretów liberalnych, m. in. w stosunku do mniejszości narodowych. Ale czy stać go będzie na więcej? Czy zechce zakończyć erę frankizmu? „Na bliższą metę wydarzenia w Hiszpanii — pisze jeden z komentatorów — nie są wolne od znaków zapytania. Nie należy bowiem nie doceniać istniejącej jeszcze siły aparatu frankistowskiego. Nie wolno wszakże zapominać, że już na długo przed śmiercią Franco — i mimo represji — większość Hiszpanów — na czele z bohaterską klasą robotniczą Hiszpanii — dawała przeliczne dowody woli reform demokratycznych. Te właśnie siły powołane są do ziszczenia nadziei, która zajaśniała w Hiszpanii."

WOJCIECH PIELECKI

REDAKCYJNA POCZTA

Do Karoli

W odpowiedzi na list Karoli ze Szczecina (131 „ŚM"), chcę powiedzieć, że i u nas zaistniała podobna sytuacja. W klasie był nielubiany chłopiec. (Nie dlatego, że słabo się uczy, ale że jest bardzo złośliwy). Dawniej wszyscy go bardzo prześladowali, głównie chłopcy. Wreszcie zainteresowało się nim kilka osób i jego sprawa została przedstawiona na lekcji wychowawczej. Rozwinęła się żarliwa dyskusja. Pod koniec narady klasa zdecydowała, że musi zmienić stosunek do kolegi. Ale nie było to takie proste, gdyż sam chłopak nie chciał nam pomóc w zrealizowaniu postanowienia. Jednak po pewnym czasie wszystko się ułożyło. Myślę, że i Karola powinna porozmawiać z kilkoma mądrymi koleżankami, a potem problem poruszyć na godzinie wychowawczej. Bo trudno liczyć, że samo wydrukowanie listu w gazecie — zmieni postępowanie chłopców! A sprawa jest ważna i trzeba ją koniecznie załatwić. Chciałabym wiedzieć, jak się Karola z nią uporała.

„E-WA" z Bydgoszczy

Ta trzecia

Mam chłopca. Janusz jest miły i dobry. Byłam szczęśliwa. Piszę „byłam" bo moja przyjaciółka stwierdziła, że ona też lubi Janusza. Prosiłam, błagałam, tłumaczyłam, że ja go kocham, żeby dała spokój, żeby nam nie przeszkadzała. Ale ona orzekła, że nie zrezygnuje, a tą trzecią zbędną osobą... jestem ja. Nie mogę tego przeboleć. Nie wyobrażam sobie życia bez Janusza. Przecież ona robi nam krzywdę. Tak nie można!

Małgośka

Janusz Przybylski lat 14, ul. Leszka Białego 37, 80-353 Gdańsk-Oliwa, interesuje się wędkarstwem, modelarstwem, filatelistyką i książkami.

A u nas jest miło...

Klasa VI b, do której chodzę, jest bardzo miła i zgrana. Ze względu na lepszą dyscyplinę dziewczęta siedzą z chłopcami. Niektórzy jednak w Andorze widzą zło w nowoczesności i nie wszyscy uważają, że znikające stare obyczaje i tradycje muszą pociągnąć za sobą zagładę narodu. Są tacy, którzy twierdzą, że otwarcie okna na szeroki świat można wykorzystać dla demokratyzacji życia, dla zdobycia pełnej niezależności. Dyskusję na temat przyszłości rozpoczęła w Andorze młodzież, która stworzyła organizację pod nazwą **Federacja Młodzieży Andorry,** będącą swojego rodzaju partią, choć w tym kraju partie polityczne są zakazane.

Dlaczego największy bazar?

Przyczyna jest prosta: Andorra jest krajem, który nie zna cła. Ceny towarów są tu średnio o połowę niższe niż u sąsiadów — we Francji i Hiszpanii. Tak więc, prawdę mówiąc, to wcale nie uroki krajobrazów ściągają tu turystów, ale właśnie te niskie ceny. Nic więc dziwnego, że na głównych ulicach stolicy nie widziałem ani jednego mieszkania na parterze. Wszędzie tylko sklepy, a w nich tłumy turystów nerwowo przerzucające stosy towarów z całego świata. Szosa prowadząca do granicy francuskiej nazywana jest przez miejscowych „drogą przez mękę"; nazwę tę zawdzięcza bezlitosnym celnikom francuskim...

Z powodów, o których pisałem na wstępie, beztrosko i bezkonfliktowo przeszedłem kontrolę na granicy hiszpańskiej, ponieważ poza kilkoma folderami, które otrzymałem za darmo, nic więcej nie miałem. W kilka godzin później mój statek zahuczał pożegnalnie syreną i światła Barcelony zaczęły oddalać się, aż wreszcie zniknęły za ciemnym horyzontem.

JERZY KOWALKOWSKI

Zdjęcie: archiwum

Rys.: T. J.

Inni myślą inaczej!

Przeczytałam list uczennicy liceum medycznego, zamieszczony w 133 „ŚM" pt., „Czy inni myślą tak niemądrze jak on"? I aż we mnie zakipiało z oburzenia! Przecież to, czy ktoś mieszka na wsi, czy w mieście jest bez znaczenia. Liczy się charakter! Marek i jego koledzy powinni się wstydzić swojego postępowania. Fakt, że Marek mieszka w mieście, a jego ojciec jest dyrektorem, nie jest jego „zasługą". Równie dobrze mógłby się urodzić na wsi, jako syn rolnika. Uważam, że Marek okazał się chłopcem nie na poziomie i jest niegodny zainteresowania. Nie umie odróżniać prawdziwych wartości!

„Ali" z Wałbrzycha

O redakcji: Korespondencji o podobnej wymowie (bardzo długie listy!), pełnych słów potępienia, nadeszło wiele. Niektórzy chłopcy starają się tłumaczyć Marka jego niedojrzałością uczuciową. Wielu proponuje swoją przyjaźń uczennicy z liceum medycznego — autorce wypowiedzi pt. „Czy inni myślą tak niemądrze jak on".

- Najstarsza republika
- Największa z najmniejszych
- Największy bazar

NAJWIĘKSZY KARZEŁ EUROPY

Tyle wiedziałem o górskim państewku Andorra, gdy stałem pod Barceloną przy szosie prowadzącej z tego miasta na północ w kierunku Pirenejów. Ale to wystarczyło, by po upewnieniu się, że wpuszczą mnie tam bez wizy, natychmiast zdecydować się na podróż. Autostopem oczywiście, jako że było to akurat na skalę moich możliwości finansowych, no i ciekawiej niż prozaicznym autobusem. Szczęście dopisało, po trzech godzinach i przebyciu niespełna 150 kilometrów byłem już, dzięki uprzejmości pary szwedzkich turystów, na granicy hiszpańsko-andorrskiej. Nie zatrzymywani przez nikogo, zaczęliśmy wspinać się górskimi serpentynami. Największej przeszkody w tej wspinaczce nie stanowiła wysokość ani ostre wiraże, ale samochody jadące ciasno jeden za drugim. Wyglądało to tak, jakby na szosie wił się ogromny, kolorowy wąż. Wreszcie dojechaliśmy do małej mieściny, która rozsiadła się w podłużnej dolinie, otoczonej szczytami. Byliśmy w stolicy kraju — Andorra La Vella, co znaczy „Stara Andorra".

Nawet nie zdziwiłem się zbytnio, gdy wśród tysięcy samochodów dosłownie z całego świata, dostrzegłem również kilka z polską rejestracją. Ale nie czas był na rozmowy rodaków, następnego dnia musiałem być z powrotem w Barcelonie na statku. A koniecznie chciałem jak najwięcej zobaczyć i jak najwięcej się dowiedzieć o tym małym państewku leżącym na południowych stokach Pirenejów, między hiszpańską prowincją Katalonia a francuskim departamentem Ariegé.

Dlaczego najstarsza republika?

Andorra uzyskała samodzielność w roku 777. Jak głosi legenda, przyznał ją andorrskim góralom król francuski Karol Wielki w nagrodę za przeprowadzenie jego wojsk przez Pireneje w czasie pochodu przeciwko Maurom. W roku 1278 otrzymała potwierdzenie swej niezależności pod warunkiem jednak, że będzie płacić daninę i pozostanie lennikiem francuskich hrabiów Foix i hiszpańskiego biskupa z Urgel, którzy toczyli między sobą o ten skrawek ziemi ciągnącą się latami krwawą wojnę. Ustalono wtedy wysokość daniny: 960 franków — hrabiemu Foix i 460 pesetów — biskupowi z Urgel.

W końcu XVI wieku zwierzchność hrabiów przeszła na królów francuskich, a następnie na prezydentów. W 1806 roku Napoleon obdarzył Andorrę konstytucją republikańską. Andorra płaci daniny po dziś dzień w tej samej wysokości, jaka została ustalona 700 lat temu. A jak się rządzi? Zgodnie z napoleońską konstytucją! Władzę ustawodawczą sprawuje Generalna Rada Dolin, złożona z 24 członków, wybierana w powszechnym głosowaniu na okres lat czterech. Władzą wykonawczą, czyli rządem, są wybierani — z grona rady — prezydent i jego zastępca. Interesy Francji i biskupa z Urgel reprezentują wyznaczeni przez obie strony tzw. syndycy. Własnej waluty kraj nie posiada, w obiegu są na równych prawach francuskie franki i hiszpańskie pesety. Nazwa **Andorra** wywodzi się z baskijskiego **andurrial,** co znaczy **„teren nierówny, górzysty".** Mieszkańcy, a jest ich niewiele ponad 20 tysięcy, mówią po katalońsku i zajmują się przeważnie hodowlą owiec, wyrębem lasów a w dolinach — rolnictwem. Ostatnio coraz częściej handlem i obsługą turystów.

Dlaczego największa z najmniejszych?

Andorrę nazywa się często największym karłem Europy, gdyż kraj ten o powierzchni prawie równej Warszawie — 465 km kwadratowych — jest „największym z najmniejszych" w Europie. Mianowicie takich, jak: Liechtenstein — 157 km kw., San Marino — 60 km kw., Monako — 1,5 km kw., czy Watykan — 0,44 km kw.

Czy obywatele „największego karła" są szczęśliwi? Jeśli ograniczyć szczęście wyłącznie do dostatku, do ilości zarobionych pieniędzy, to powinni być z każdym rokiem szczęśliwsi. Ilość odwiedzających ich ojczyznę turystów, ciągle wzrasta. W ubiegłym roku, tylko w czasie dwóch urlopowych miesięcy, w lipcu i sierpniu, przewaliła się przez Andorrę, a dokładniej przez jej stolicę, trzymilionowa fala turystów. To jest dwa razy więcej, niż w roku 1972. Na jedynej szosie z prawdziwego zdarzenia, łączącej poprzez Andorrę, Francję z Hiszpanią, zwłaszcza na odcinku Andorra La Vella — Francja, działy się sceny dantejskie. Wędrując po ulicach, zachodziłem w głowę jak właściciele zaparkowanych samochodów wyrwą się z tej matni? Ta nawała „najeźdźców" zostawia w Andorze sporo pieniędzy, ale jest też dla jej mieszkańców męcząca. Stąd coraz liczniejsze głosy: **„Znikamy we własnym kraju, jesteśmy pożerani".** Przeniesieni nagle z epoki muła w epokę „Mercedesa", obywatele Andorry, choć zarabiają dużo, nie czują się dobrze. Izolowani przez wieki od reszty Europy niedostępnymi górami, wykształcili własną kulturę i obyczaje, bliższe średniowieczu niż współczesnym czasom. Teraz zwłaszcza starsi są pełni obaw o swoją przyszłość, po prostu boją się, że znikną jako naród. Nie wszyscy jednak w Andorze widzą zło w nowoczesności i nie wszyscy uważają, że znikające stare obyczaje i tradycje muszą pociągnąć za sobą zagładę narodu. Są tacy, którzy twierdzą, że otwarcie okna na szeroki świat można wykorzystać dla demokratyzacji życia, dla zdobycia pełnej niezależności. Dyskusję na temat przyszłości rozpoczęła w Andorze młodzież, która stworzyła organizację pod nazwą **Federacja Młodzieży Andorry,** będącą swojego rodzaju partią, choć w tym kraju partie polityczne są zakazane.

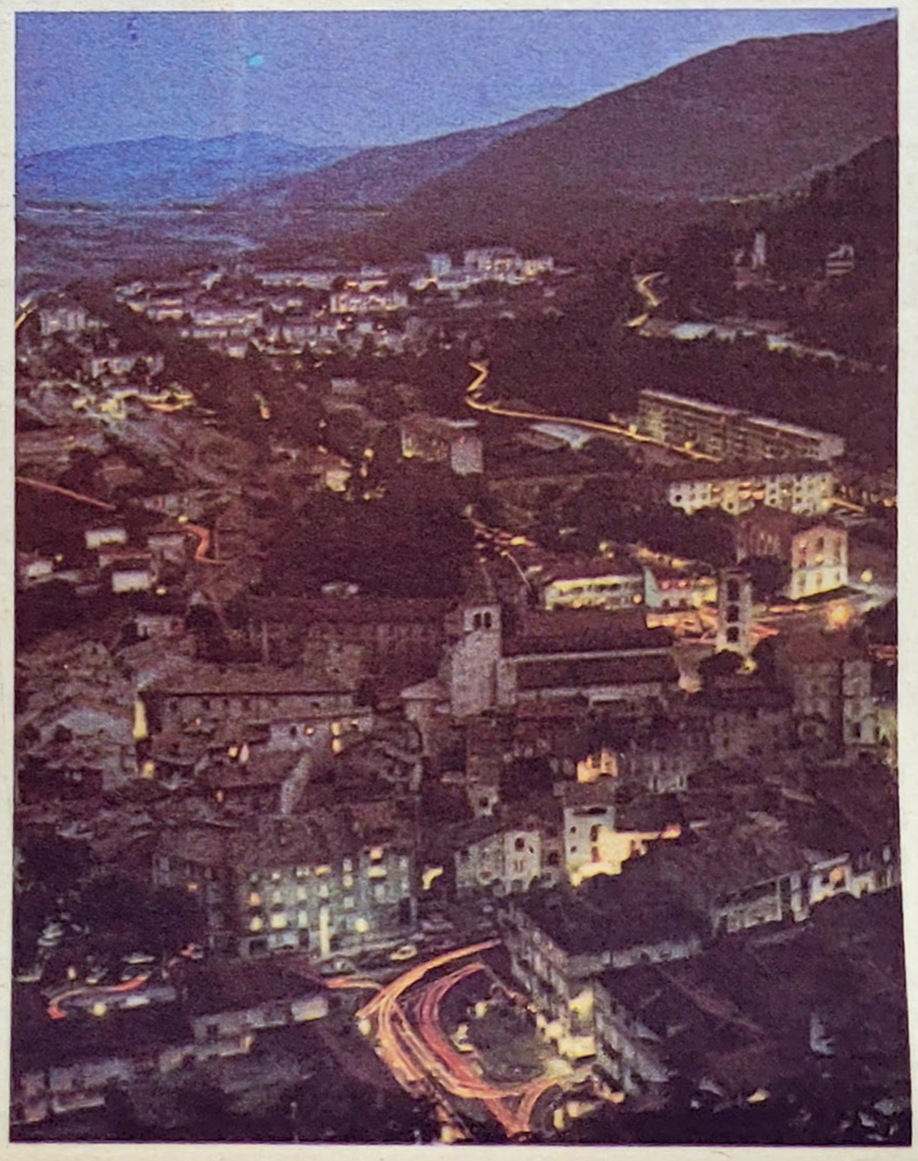

Bałtyk można zarybiać

ŁOSOŚ DLA KAŻDEGO

SZCZECIN (PAP). Czy łosoś może stać się rybą popularną? Nad tym problemem pracuje zespół naukowców z Wydziału Rybactwa Morskiego i Technologii Żywności w Szczecińskiej Akademii Rolniczej, kierowany przez dra Zygmunta Chełkowskiego. Wieloletnie badania wykazały, że można hodować i łowić na Bałtyku wielokrotnie więcej ryb niż dotychczas. Choć Bałtyk w niektórych rejonach staje się morzem martwym — dotyczy to stref przydennych — to w górnych warstwach wód są znakomite warunki dla rozwoju łososia. Potrzeba tylko dużej ilości narybku.

Na rzece Drawie utworzono ośrodek zarybieniowy łososia i troci, który dostarczył już prawie 2,5 tys. młodych łososi. Opracowano też optymalne warunki hodowli łososia, jego karmienia i ochrony. Podobne badania naukowe prowadzi się nad hodowlą troci. (bis)

STUDENCI POMAGAJĄ UCZNIOM

Łatwiejszy start na uczelni

ŁODŹ (PAP). Dla wielu młodych ludzi rozpoczynających studia bardzo trudne jest dostosowanie się do nowych warunków. Pragnie temu zapobiec łódzkie środowisko akademickie, rozwijając różne formy współpracy z młodzieżą szkolną. A oto kilka przykładów...

Uzdolnionymi matematycznie uczniami łódzkich szkół zaopiekowali się studenci matematyki UŁ. Ich akcja „Szukamy młodego Banacha" umożliwiła wyłowienie grupy dziewcząt i chłopców o zamiłowaniu do nauk ścisłych. Członkowie koła naukowego śledzą losy tych uczniów. Wielu z nich włącza się do prac studenckiego ruchu naukowego.

Znakomitą praktyką pedagogiczną dla słuchaczy kierunków nauczycielskich UŁ są wspólne, studencko-uczniowskie obozy naukowe służące rozwijaniu zainteresowań młodzieży szkolnej. Co roku w obozach tych bierze udział około 70 uczniów wytypowanych przez kuratorium i ZHP. Efekty tej współpracy są widoczne. Uczniowie — uczestnicy obozów z reguły są bardzo dobrymi studentami.

Jedną z najciekawszych akcji jest „Telefon do starszego kolegi" — inicjatywa Koła Naukowego Psychologów UŁ. Polega ona na telefonicznym udzielaniu porad dotyczących m. in. wyboru kierunku studiów. (bis)

HONOROWA PORAŻKA W REWANŻU

Wszatni przed meczem panowały optymistyczne nastroje, nikt nie zamierzał sprzedać tanio swej skóry. „Walczymy do końca, ambitnie, bez względu na wynik" — powtarzał trener Tęczy — Marek Wiśniowski. „Najważniejsze abyśmy pokazali ładną piłkę nożną" — krótko skomentował wypowiedź trenera opiekun zespołu, pan Edmund Damaros.

Mecz rozpoczął się od ataków zespołu polskiego. Już w pierwszej minucie strzał Eugeniusza Gorlika wybija na rzut rożny bramkarz gospodarzy. W dwie minuty później sytuacja się powtarza.

Trwa nieustanny atak zespołu biało-niebieskich, Tęczy Rytel. Dopiero w 20 minucie spotkania oglądamy pierwszą groźną akcję piłkarzy Forwörtsu. W 23 minucie Wiesiek Piekarski zostaje nieprawidłowo zatrzymany tuż przed polem karnym. Poszkodowany egzekwuje rzut wolny. Piłka bita fałszem przechodzi ponad murem obrońców niemieckich i trafia na głowę Stanisława Szmaglińskiego, ten przerzuca ją do Mirka Zagórskiego, który strzela i... ponowny rzut rożny.

Wydaje się, że bramka wisi na włosku. Piłkarze Tęczy, wciąż atakują z dużym animuszem. Lecz wystarczył moment nieuwagi polskiej obrony. Rzut karny, który w bramkę zamienił Hans Georg Feige — 1:0! Nasi zawodnicy nie załamują się, znów oglądamy piękną akcję. W. Piekarski — E. Gorlik, zakończoną groźnym strzałem. W 26 minucie po błędzie polskich obrońców Dietmar Küsch zdobywa drugą bramkę. Takim rezultatem kończy się pierwsza połowa.

Po przerwie nasi zawodnicy nie mając już nic do stracenia, ruszają więc do ataku nonstop. Raz po raz bramkarz gospodarzy znajduje się w opałach. I jak to często bywa w takich sytuacjach, gdy zespół myśli o ataku a nie obronie, wypad napastników NRD przynosi trzecią bramkę.

Najważniejsza — jak twierdzi trener Tęczy Marek Wiśniowski — jest konsekwencja w grze. A tej, naszej drużynie nie można odmówić. Mimo utraty trzeciej bramki wciąż polscy piłkarze dążą do zmiany niekorzystnego rezultatu. W 54 minucie egzekwujemy rzut rożny. Wiesiek Piekarski popisuje się rzadko oglądaną na piłkarskich stadionach „sztuczką". Mocno

---

VII TURNIEJ WIEDZY OBYWATELSKIEJ

Sztab turniejowy w Świerklańcu miał kilkanaście dni temu trudny orzech do zgryzienia — gdzie zorganizować turniejową uroczystość podsumowującą? I to nie dlatego, że brak odpowiedniego miejsca, ale dlatego, że do wyboru są aż trzy możliwości.

Ostatnie dni VII Turnieju Wiedzy

TRUDNY ORZECH DO ZGRYZIENIA

Wiele przemawia za tym, aby podsumowanie turnieju zorganizować w Gminnej Szkole Zbiorczej — położona jest w centrum gminy, wiele prac turniejowych wyeksponowano już na korytarzach i w harcówce, a wreszcie 12 z 26 zespołów, turniejowych działających w Świerklańcu pochodzi z tej właśnie szkoły.

Za Szkołą nr 2 przemawia przede wszystkim oddana niedawno do użytku piękna świetlica szkolna, której pozazdrościć mogą duże szkoły miejskie. Można w niej pomysłowo pokazać wszystkie wykonane przez zespół Dzidka plakaty popularyzujące określone zawody; mini-muzeum regionalne, do którego eksponaty zbierali wszyscy podczas licznych wędrówek po gminie; rysunki o regionie wykonane przez zuchy czy wreszcie interesujące tablice poświęcone przodownikom pracy z Agromy, Instytutu Sadownictwa, Zajezdni WPK i Nadleśnictwa — zakładów znajdujących się na terenie gminy.

Nie mniejsze szanse ma szkoła filialna w Orzechu. Mowa oczywiście o tej nowej szkole, która zostanie przekazana do użytku na początku grudnia. Sztab turnieju to nawet denerwuje się trochę, że harcerze z Orzecha nic, tylko przy nowej szkole pracują i pracują, kosztem nawet harcerskich zbiórek.

26 zespołów turniejowych z trzech szkół Gminnego Związku Drużyn w Świerklańcu kończy już swoje zadania. Teraz to wszyscy mówią, że udały się, że fajnie, ale na samym początku turnieju, zaraz po biwaku dla zastępowych w Smoleniu, nic nie zapowiadało takich rezultatów.

„Sanitariuszki" — 13-osobowy zespół Urszuli rozkręcił się do tego stopnia, że zamiast trzech zaplanowanych wywiadów do zadania „W mikrofonie o regionie" przeprowadził siedem. Pod kierunkiem Gabrysi — jedynej „niezorganizowanej" w tym zespole (jest zawodniczką w sekcji lekkoatletycznej Górnika Zabrze i brakuje jej czasu na zbiórki) opracowano już scenariusz, napisano własne komentarze i dobrano muzykę, pozostało już tylko zmontowanie audycji.

Na pewne kłopoty natrafiły zespoły, które podjęły zadanie pn. „Wędrujemy, wędrujemy". W oddziale PTTK w Tarnowskich Górach akurat „wyszły" wszystkie informatory w języku polskim, siedzieli więc i... tłumaczyli z rosyjskiego, bo w języku rosyjskim foldery były. Śmieją się, że to zadanie jest dla nich podwójnie pożyteczne: lepiej poznają i region, i obcy język.

Nie tylko lingwistyczne korzyści przyniósł turniej w Świerklańcu — w czasie jego trwania harcerze wykonali bieżnię lekkoatletyczną na boisku szkolnym, pracowali w Instytucie Sadownictwa i na plantacjach truskawek, pomalowali ławki szkolne, drzwi i ściany świetlicy oraz przedszkola, zebrali ponad 2 tony makulatury, kilkaset kilogramów żołędzi, kasztanów, nasion lipy...

W tej chwili, gdy czytacie ten tekst, to już na pewno obie niewiadome — który zespół zwyciężył i gdzie odbędzie się podsumowanie — zostały w Świerklańcu rozstrzygnięte. Gratulujemy więc zwycięzcom! I tym ze Świerklańca, i tym ze wszystkich innych szkół w całej Polsce!

MARIAN TWARÓG

Zdjęcie: Michał Zbikowski

Sam w środku nocy

O czwartej rano jest jeszcze zupełnie ciemno. Właściwie teraz, w grudniu, czwarta rano to jeszcze głęboka noc. W uśpionym domu dzwonek budzika rozlega się niby salwa armatnia. W bloku jest 80 mieszkań. W ilu z nich ktoś wstaje o tej porze? To pytanie zadaje sobie LESZEK MIERZEJEWSKI, wyłączając budzik. On w każdym razie czuje się tak, jakby był zupełnie sam. Cicho, żeby nie zbudzić rodziny — żony, trzyletniej córki oraz śpiących w pokoju obok rodziców — wstaje z łóżka. Wrzuca na siebie „robocze" ubranie, obmywa wodą zaspane oczy. Poranna toaleta nie może trwać dłużej niż 15 minut, bo najpóźniej kwadrans po czwartej musi wyjść z domu.

Dźwięk ściąganej windy wydaje mu się hukiem wodospadu. Może lepiej zbiec z siódmego piętra, nie byłoby tyle hałasu? Co rano rozważa ten problem. I prawie co rano ulega lenistwu. Zresztą, sąsiedzi też już się pewnie przyzwyczaili przez ten rok. Bo to już rok temu zaczął tę pracę.

Biegiem, żeby było najszybciej, dociera do schowka, a właściwie nie używanego garażu. Tam wkłada „strój ochronny" — starą dżinsową kurtkę. Wyciąga wózek, podjeżdża pod sklep. Ładując skrzynki z mlekiem i ciągnąc je pod dobrze znane sobie adresy, wygląda już jak prawdziwy mleczarz.

Wstań i chodź

Kiedy pytam, dlaczego to robi, odpowiada, że większość studentów pracuje dorywczo, żeby zdobyć trochę gotówki. A on chce mieć motor, mieszkanie, nowoczesny sprzęt fotograficzny, no i nową... perkusję, bo stara się już prawie rozlatuje. Jeśli chce się coś mieć, to trzeba zdobyć pieniądze. I on tak właśnie postępuje.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — mówi. — A jeśli chcesz zobaczyć, jak to wygląda, to wstań rano i chodź ze mną.

Klient mój pan

Wstałam. Zachowam w tajemnicy, ile wysiłku mnie to kosztowało. Kwadrans po czwartej czekałam już na Leszka przed jego domem. Trzęsąc się z zimna, ledwo wykrztusiłam powitanie.

— Poczekaj, zaraz się rozgrzejesz — obiecał mi.

— Po drodze wszystko ci opowiem.

Biegnąc za nim, słuchałam skróconego wykładu o tym, że ludzie w osiedlu na Kinowej wstają równie wcześnie jak w innych osiedlach. Chodzą na szóstą do pracy, a przed wyjściem każdy z nich chciałby napić się gorącego mleka. Dlatego zadaniem jego, roznosiciela, jest dostarczyć to mleko na czas. I dlatego prawie cały czas biega.

A tak naprawdę, to bardzo fajne uczucie wstać tak rano. Ulice wyludnione, całe miasto śpi, człowiek czuje się niemal, jakby był sam w całej Warszawie.

— Skoro już tu jesteś, to chyba mi pomożesz? — mówi. Kiwam głową. Leszek ładuje więc na wózek cztery skrzynki więcej niż zwykle. Przeciążony wózek ledwo rusza sprzed sklepu. Kolejno podjeżdżamy pod klatki. Leszek ma w głowie nie tylko adresy, ale wie, gdzie ile mleka trzeba zanieść. Zręcznie bierze po jednej skrzynce (12 butelek) w każdą rękę. Przenosi tak dziennie 340 litrów! Skrzynkę, dwie lub więcej, zależnie od potrzeby, trzeba wnieść do windy. Wjeżdża się na najwyższe piętro i stamtąd się zaczyna. Leszek z wprawą, jak dobry krasnoludek, zabiera sprzed drzwi puste butelki i stawia pełne. Chociaż — nie zawsze idzie to tak gładko.

— Znowu nie wystawili butelek — burczy pod jakimiś drzwiami. A przecież mają troje małych dzieci. Dam im chociaż litr.

Zdarzają się też odwrotne sytuacje: „Ci znowu nie zapłacili za mleko, a butelki wystawiają. Nie dam, aż zapłacą". Mleczarz to prawie jak ktoś z rodziny, zwłaszcza, jeśli tak jak Leszek, zna swoich klientów. A Leszek zna ich naprawdę dobrze, i spełnia ich wymagania:

podkręcona piłka wpada do bramki obok kompletnie zaskoczonego bramkarza drużyny gospodarzy. 3:1! Wielka radość wśród piłkarzy Tęczy. Teraz wszyscy, nawet obrońcy, przebywają na połowie drużyny niemieckiej. I gdy wydaje się, że zdobycie kolejnej bramki przez polski zespół to tylko kwestia czasu, drużyna Forwärtsu zdobywa czwartą bramkę... Od tego momentu rozpoczyna się bramkarski popis Krzyśka Przybylskiego i strzelecki festiwal graczy z Frankfurtu. Najpierw Axel Tief, a później Norbert Rudolph zdobywają kolejne bramki. Mecz kończy się wynikiem 6:1 dla graczy z NRD.

Mimo takiego wyniku, gra w wykonaniu naszych piłkarzy mogła się podobać, bowiem ambicji i woli walki nie można im odmówić. Wiele akcji polskich graczy stało na wysokim poziomie. No dobrze, powie ktoś, to skąd wynik 6:1? Trzeba przyznać, że młodzi piłkarze z Frankfurtu wyraźnie górowali nad naszymi wyszkoleniem technicznym i lepszą kondycją. A nasi obrońcy mieli słabszy dzień. Zresztą w tej formacji grali dublerzy, bowiem R. Formella, L. Piechowski i R. Buszczak na skutek kontuzji nie wyjechali do NRD. Sam zaś W. Danecki stoper polskiego zespołu choć dwoił się i troił nie mógł ich zastąpić.

Nie ma powodów do rozpaczy, przegrana z rywalami, którzy trenują od siódmego roku życia pod okiem świetnych fachowców nie przynosi wstydu, tym bardziej że gracze z Rytla piłkarskich umiejętności uczyli się w Wakacyjnym Turnieju naszej gazety i to pod okiem starszego kolegi 18-letniego Marka Wiśniowskiego.

Mimo wysokiej przegranej piłkarze z Rytla pozostawili we Frankfurcie n. Odrą bardzo korzystne wrażenie. Wielokrotnie akcje w ich wykonaniu gorącymi brawami nagradzała znająca się na futbolu publiczność NRD.

DARIUSZ SZPAKOWSKI

Zdjęcie: **K. Adamowski**

Pomeczowe opinie

Trener Forwärtsu Frankfurt n/Odrą KARL HEINZ RING: Nie spodziewałem się, że wasi piłkarze zagrają tak ambitnie i z taką wolą zwycięstwa. Wynik nie odzwierciedla przebiegu gry. Sprawiedliwszy byłby rezultat 4:2 dla mojego zespołu. Drużyna Tęczy Rytel ma cztery duże indywidualności, które znajdą miejsce w każdym zespole trampkarzy. Są to rozgrywający: Wiesiek Piekarski i Eugeniusz Gorlik oraz stoper Waldemar Danecki i bramkarz Krzysztof Przybylski.

Trener zespołu Tęczy Rytel MAREK WISNIOWSKI: Wynik mnie nie cieszy, gra — bardzo. Pokazaliśmy ładną piłkę, szkoda, że nie miałem kompletu obrońców. Najlepiej zagrała środkowa linia. Za rok, gdy uda nam się zwyciężyć w krajowym finale, spróbujemy zrewanżować się za niechlubną porażkę.

BAZAR

ZURT

UNITRA FONICA

DZIŚ GRAMOFONY

Prezentujemy Wam zestaw pięciu gramofonów, od popularnego monofonicznego PARTY HITA do wysokiej klasy FONOMASTERA STEREO HI-FI. Wszystkie te urządzenia produkują Łódzkie Zakłady Radiowe UNITRA-FONICA.

PARTY HIT

Jest jednym z całej rodziny Hit, do której należą również następujące gramofony: Mister Hit, Stereo Hit oraz WG-413 lux. Ten ostatni jest nowością na rynku.

Party Hit posiada własny wzmacniacz o mocy wyjściowej 1,1 W, wkładkę krystaliczną typu UF-50 gwarantującą dobre funkcjonowanie urządzenia. Jest to gramofon monofoniczny, ale można na nim również odtwarzać płyty stereofoniczne (bez efektu stereofonicznego) bez obawy uszkodzenia igły lub płyty. Istnieje również możliwość przegrywania płyt na taśmę magnetofonową, ponieważ gramofon ten, jak zresztą wszystkie inne, wyposażony jest w odpowiednie gniazdko. Prędkości obrotu talerza: 33 1/3, 45. Pasmo przenoszenia częstotliwości: 80 – 10 000 Hz.

WG-510 mono

Gramofon ten posiada wszystkie parametry identyczne z gramofonem WG-511, różni się jednak od niego wmontowanym automatycznym zmieniaczem płyt. Na gramofonie WG-510 można więc odtwarzać kolejno 10 płyt lub wielokrotnie jedną, np. przy nauce języka. Moc wyjściowa wzmacniacza 2,5 W. Prędkości obrotu talerza: 16 2/3, 33 1/3, 45, 78. Pasmo przenoszenia częstotliwości: 40–15 000 Hz. Wkładka adapterowa podobna jak w rodzinie Hitów – typ UF-50.

WG-580 fs stereo

Gramofon ten posiada dwukanałowy wzmacniacz o mocy wyjściowej 2×2,5 W i przeznaczony jest do odtwarzania płyt stereofonicznych lub monofonicznych. Podobnie jak poprzedni, WG-580 fs stereo posiada zmieniacz płyt umożliwiający automatyczne kolejne odtwarzanie do 10 płyt i tylko tym urządzeniem różni się od gramofonu WG-581 fs stereo. Prędkości obrotu talerza: 16 2/3, 33 1/3, 45, 78. Wkładka adapterowa typ UF-50. Pasmo przenoszenia: 40–15 000 Hz.

WG-550

Jest to popularny gramofon ze wzmacniaczem i głośnikiem w jednej obudowie, umożliwiający odtwarzanie płyt monofonicznych. Wzmacniacz posiada moc wyjściową – 2,5 W, co zapewnia dobre odtwarzanie nagrań. Prędkości obrotu talerza: 33 1/3, 45. Wkładka adapterowa typ UK-9. Pasmo przenoszenia częstotliwości: 40–15 000 Hz. Tak jak wszystkie inne gramofon posiada regulację barwy dźwięku.

WG-610 fs FONOMASTER

Gramofon stereofoniczny klasy Hi-Fi. Cały zestaw składa się z gramofonu stereofonicznego G-601 z przetwornikiem magnetycznym oraz z dwukanałowego wzmacniacza o mocy wyjściowej 2×15 W. Gramofon i wzmacniacz umieszczone są w jednej obudowie chociaż w handlu są takie same gramofony (G-601). Uzupełnieniem zestawu są dwie kolumny głośnikowe typu Compact. Fonomaster posiada również gniazdo do podłączenia słuchawek stereofonicznych. Prędkości obrotu talerza: 16 2/3, 33 1/3, 45, 78. Pasmo przenoszenia częstotliwości: 40–16 000 Hz. Wkładka adapterowa: M 44 MB (SHURE) lub podobna. Ten typ wkładki pozwolił wielokrotnie zmniejszyć nacisk igły na płytę, a więc automatycznie zwiększyła się jej żywotność.

K-7/4/2

– Pod „69" trzeba zadzwonić, bo oni nie wystawiają butelki; tu muszę dać 3 litry, a ty idź pod 48.

W następnej klatce Leszek ma osobistych znajomych.

– Uważaj, zaraz coś zobaczysz! – szepcze.

Choć stawia butelkę prawie bezgłośnie, drzwi uchylają się i wygląda zza nich stara kobieta.

– Niech pan mi da jeszcze dwa litry – prosi. – Przyjechała rodzina w gości.

Szepczą chwilę i Leszek stawia jeszcze dwie butelki, inkasując za nie równo odliczone 5 zł 80 gr. Sytuacja powtarza się co rano. On na tej transakcji traci, ale jak tu odmówić?

„Mało teraz takich ludzi"

Wracamy do sklepu po następną partię mleka. Teraz już nie jesteśmy na ulicach sami. Pierwsze autobusy i tramwaje rozwożą ludzi do pracy. Zaspane matki dźwigają dzieci do żłobków i przedszkoli. Wszyscy się spieszą, biegną za uciekającym autobusem. Ruch jak w godzinach szczytu! A przecież na ulicach jest jeszcze ciągle ciemno.

Został nam do obsłużenia ostatni dom – ogromny nowy blok na Kinowej. Za rozniesienie mleka w tym tylko domu zarabia Leszek dwa tysiące miesięcznie. Ale też roznosi tu ponad 100 litrów mleka. Idzie mu to zresztą bardzo szybko. Odbiera jeszcze kilka listów spod pustych butelek: „Jutro proszę mleka nie zostawiać"; w innej klatce 5 zł z kartką: „Za wczorajsze mleko". To się często zdarza, że prowadzi ze swymi klientami korespondencję. Niekiedy jest to korespondencja bardzo ożywiona. Na przykład, przed świętami, gdy zawiadamia klientów: „W drugi dzień świąt mleka nie roznosi się". Musi wtedy napisać kilkaset takich kartek i położyć je pod butelki. Kiedy indziej on odbiera masę „listów", np. życzenia na Nowy Rok. Znają go tu i lubią. Kiedy mijamy idącą po zakupy staruszkę, słyszymy jak mówi: „Taki młody, a tak ciężko pracuje. Mało teraz takich ludzi".

Mleczarz po fajrancie

Za kwadrans siódma meldujemy się już w sklepie, gdzie Leszek musi rozliczyć się z kierownikiem. Dzisiaj, dzięki mojej pomocy, skończył pracę pół godziny wcześniej. Jako mleczarz jest już wolny, a przecież jego dzień dopiero się zaczyna. Robi szybko zakupy i wraca do domu. Przebiera się w „normalne" ubranie, je śniadanie i odprowadza swoją latorośl do przedszkola. Stamtąd musi szybko dojechać na ulicę Banacha, gdzie znajduje się Wydział Geologii UW. Leszek jest na czwartym roku. Z wyboru będzie sozologiem, czyli „ochroniarzem"; specjalizuje się w ochronie środowiska naturalnego. To jedna z jego życiowych pasji. Zbiera pilnie wiadomości, aby zostać w przyszłości dobrym fachowcem. Po zajęciach nie jest zupełnie wolny. Jego polem działania jest SZSP, a właściwie GAF – Geologiczna Agencja Fotograficzna.

Fotografia jest bowiem następną życiową pasją. Sam robi zdjęcia, sam je wywołuje, i muszę przyznać, że jest naprawdę dobrym fotografem.

Oprócz tego jest jeszcze kajakarstwo, motoryzacja. Trzeba prowadzić także jakieś życie towarzyskie. Jest przecież młody. Ma dopiero 25 lat i też chce „coś mieć z życia". Chodzi więc do kina, spotyka się ze znajomymi, a czasem wpada z żoną do „Stodoły", aby posłuchać dobrej muzyki i potańczyć. Nie ma na to wszystko zbyt wiele czasu, ale stara się zagospodarować każdą godzinę. I choć zasypia często na stojąco, pociesza się: „Jak skończę studia, to odpocznę". No, bo co robić, jeśli ma się rozliczne zainteresowania i... sporo obowiązków?

MAŁGORZATA SZCZEPANIAK

Zdjęcie: **S. Szutkowska**

GWIAZDOZBIÓR

ŁARISA KADOCZNIKOWA

W polskim filmie gra

SPOTYKAMY się na planie telewizyjnego filmu „Domy z deszczu", reżyserowanego przez Ryszarda Bera. Scenariusz na motywach powieści rosyjskiego pisarza Konstantego Paustowskiego napisał Stanisław Grochowiak. Łarisa Kadocznikowa gra w polskim filmie, partnerują jej polscy aktorzy. Języka nie zna, więc mówi po rosyjsku. Później, już w gotowym filmie jej rola zostanie zdubbingowana. Gdy pytam, czy myślała o nauczeniu się swej roli po polsku, z uśmiechem zaprzecza:

— *To niemożliwe, myślałabym w czasie pracy o tym, czy mówię poprawnie, a nie jak grać. Moja rola ma wiele dialogów.*

Porozumienie z polską ekipą nie sprawia jej jednak żadnych kłopotów; już po kilku dniach zdjęciowych wszystkie rozmowy na planie odbywały się w swoistej mieszaninie obu języków, zrozumiałej dla obu stron.

Jest pogodna, pełna wewnętrznego ciepła i skupienia. Jej sposób gry nieodparcie nasuwa skojarzenie z poprzednimi rolami w poetyckich filmach ukraińskich. Podobna też jest bohaterka „Domów z deszczu" subtelna, niezwykle wrażliwa, liryczna. Olga to kobieta, która po raz pierwszy pokochała. Polski oficer, który przywiózł jej list od męża z frontu, obudził w niej uczucia dotąd nie znane, przywrócił ją życiu, choć jego wizyta trwała bardzo krótko.

— *Podoba mi się ta rola* — mówi Łarisa Kadocznikowa — *choć zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam czytając powieść. Wizerunek bohaterki nakreślony w scenariuszu jest inny niż u Paustowskiego, ale nie mniej interesujący. Nie grałam dotąd w polskim filmie, nie znałam też reżysera, ale nie żałuję swojej decyzji.*

Łarisa Kadocznikowa jest absolwentką wydziału aktorskiego na WGIK-u — moskiewskiej wyższej uczelni filmowej. Na ekranie debiutowała już w czasie studiów, w 1959 roku, rolą żony tytułowego bohatera filmu „Wasilij Surikow". Potem grała m. in. w „Sprawie trzynastu", „Ulicy Newtona nr 1", „Nocy świętojańskiej", „Cieniach zapomnianych przedmiotów", „Komisarzach" i „Białym ptaku z czarnym znamieniem". Na planie „Ulicy Newtona" poznała swego przyszłego męża — reżysera, operatora i aktora — Jurija Iljenkę, który grał tam główną rolę męską. Własną rolę wspomina z goryczą.

— *Scenariusz był pisany podobno z myślą o mnie, nazywał się nawet „Łarisa", tytuł zmieniono dopiero po zakończeniu filmu. Rola była interesująca, ale w trakcie pracy zupełnie nie mogłam się porozumieć z reżyserem. Nieustannie mieliśmy rozbieżne koncepcje, zwyciężyło oczywiście jego zdanie. Gdy po zakończeniu zdjęć obejrzałam materiały, byłam przerażona. Z ekranu spojrzała na mnie szara, nijaka bohaterka, która chodzi, miło się uśmiecha i nic więcej. A filmowej roli nie można już poprawić.*

Może to właśnie doświadczenie sprawiło, że w wyborze ról filmowych jest bardzo ostrożna, grywa rzadko, długo rozważa proponowane scenariusze.

— *Zgadzam się grać dopiero wtedy, gdy odnajduję w postaci coś bliskiego, coś, co porusza. Może to być zupełnie inny typ kobiety, odmienny charakter, ale musi mieć ciekawe wnętrze. Przyjmuję współpracę tylko z reżyserami, po których mogę się spodziewać, że ich pojmowanie świata jest mi bliskie. Wydaje mi się, że aktor może zagrać tylko dwie, trzy interesujące, ważne role. Potem zaczyna się powtarzać, zatraca indywidualność, pozwala się po prostu fotografować.*

Gdy patrzę na jej pracę na planie „Domów z deszczu", rozumiem co te słowa znaczą. Jest aktorką traktującą swój zawód bardzo poważnie; przyjąwszy rolę czuje się zobowiązana do maksymalnego wysiłku. Widać, że każdy fragment roli został starannie przemyślany, przygotowany. Przed przyjazdem do Polski zakończyła pracę nad filmem „Marzyć i żyć" w reżyserii Jurija Iljenki. Gra tam aktorkę teatralną.

— *Ciekawa i trudna rola* — mówi. — *Bohaterka jest kobietą, która wiele przeżyła: miłość, nienawiść, sukcesy i porażki — życiowe i zawodowe. Po latach odnajduje utraconą matkę.*

Nazwisko „Kadocznikowa" staje się dla niej często przyczyną zabawnych nieporozumień. Nosi je także znany radziecki aktor Paweł Kadocznikow. Nie ma między nimi żadnego pokrewieństwa, ale nieustannie są o to pytani.

— *Czasem Paweł Kadocznikow odpowiada: „Tak, córka". Ja zaś zaprzeczam i pytającemu trudno wyrobić sobie na ten temat jakąś opinię. Kiedyś miałam zdjęcia w Leningradzie, gdzie aktor ten jest bardzo popularny. Gdy w hotelu usłyszano moje nazwisko, natychmiast dostałam najlepszy pokój. Uznali mnie za jego córkę i bardzo chcieli jakoś szczególnie uhonorować.*

Łarisa Kadocznikowa początkowo występowała w moskiewskim teatrze „Sowriemiennik", potem po wyjściu za mąż za Iljenkę, przeniosła się do Kijowa. Na scenie moskiewskiej przeszła, jak mówi, szkołę „prawdziwego realizmu", w Kijowie zaś zetknęła się z poetyckim kinem ukraińskim; pod jego wpływem pozostała do dziś. Ono też ukształtowało jej typ aktorski: stonowany, subtelny, liryczny. Grane przez nią bohaterki wzruszają i pozostają w pomięci na długo po obejrzeniu filmu. Jak choćby Dana z „Białego ptaka z czarnym znamieniem".

ELŻBIETA DOLIŃSKA
Zdjęcie: **Jerzy Troszczyński**

Wybrałyśmy się wczoraj z Hanką na krem. Wielkie święto — dostałam piątkę z historii — trzeba ją było godziwie uczcić!

Pora była taka dopiero lekko popołudniowo i ludzi w barku kawowo-kremowym niezbyt wiele, ale mimo tego nie było dwóch wolnych koło siebie stołków, tylko pojedyncze, pomiędzy ludźmi. A myśmy chciały trochę posiedzieć, pogadać. Mówię więc do Hanki: „Ty postój przy kasie i weź kremy, a ja przez ten czas poproszę tamtego pana — wskazałam w tym momencie głową na wujowatego osobnika w ciemnozielonym lodenie — żeby się przesiadł na stołek obok, to będziemy miały dwa dla siebie". I już idę w stronę zielonego lodenu. W tym momencie... Hanka łapie mnie za rękaw i najnormalniej w świecie błagać niemal zaczyna, żebym tego nie robiła. Że po co mu przeszkadzać, że przecież my możemy sobie postać, albo ewentualnie zaczekać aż się jakieś dwa miejsca koło siebie zwolnią, że naprawdę nie ma potrzeby, że to byłoby niegrzeczne... A w oczach ma prawie łzy. Widzę, że za nic w świecie nie da się przekonać, że jeśli podejdę do zielonego lodenu, to... po prostu sobie pójdzie, z kremu zrezygnuje.

Cóż?! To ja zrezygnowałam. Zjadłyśmy krem stojąc pod ścianą. Wcale mi tak nie stojące nie smakował!

A w ogóle pyszny przecież był. Więc zła jestem. i na Hankę, i na siebie. Na Hankę dlatego, że przesadziła w tej swojej grzeczności, w uprzejmości. Ona by tak chciała... przepraszać, że żyje, krygować się, że zużywa ileś tam litrów ogólnospołecznego powietrza. A już jak ognia boi się, żeby, broń boże, ktoś jej nie posądził, że chciałaby coś dla siebie cudzym kosztem. Pewnie, tak w zarysach to ma rację, ale w szczegółach... Co by się stało, gdybym tego pana grzecznie poprosiła, żeby się przesiadł? Nie widzę powodu, dla którego miałby się obrazić lub poczuć dotknięty.

Hanka uważa, że to byłby nietakt. Nie zgadzam się — w końcu ten barek jest dla wszystkich, i stołki też są dla wszystkich, i ci wszyscy powinni się nimi tak podzielić, żeby każdemu było wygodnie. A że my jesteśmy trochę młodsze, to już nie mamy do niczego prawa?

Zresztą, co tutaj mówić o prawach skoro sami z nich rezygnujemy? Hanka z grzeczności woli żadnego prawa nie mieć, do wiadomości go nie przyjmuje. Cóż, skoro lubi się samoumartwiać... Tylko w imię czego ja również wciapywałam ten krem na stojąco jak pies?

I o to jestem zła na siebie.

MAGDA

TOPNIEJĄ WIECZNE ŚNIEGI

GRENLANDIA oraz inne lądy i wyspy podnoszą się do góry

(PAP). Prowadzone w ostatnich latach badania naukowe na Grenlandii przyniosły interesujące odkrycia: pokrywa lodowa tej największej wyspy świata uległa w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat znacznemu zmniejszeniu. Od schyłku ostatniego zlodowacenia czoło grenlandzkiego lądolodu cofnęło się w zachodniej części wyspy aż o ponad 120 km! Znaleziono daleko w głębi lądu przybrzeżne skały osadowe pochodzenia morskiego oraz zarysy dawnej linii brzegowej. Tereny znajdujące się około 10 tys. lat temu na poziomie morza zostały podniesione na wysokość 125 metrów!

Przeprowadzone pomiary i badania wykazały, że również inne obszary na północy przykryte niegdyś potężnym lądolodem podnoszą się do góry. Północna Kanada i Labrador „urosły" od schyłku epoki lodowej o 270 m. Arktyczny archipelag Spitsbergen podniósł się o 50 m, wyspy Nowa Ziemia — o 100 m, a półwysep Tajmyr — o 100 m.

Podobne ruchy wznoszące wystąpiły także na półkuli południowej. Antarktyda podniosła się o 100 m, a południowa Patagonia o ok. 40 m. Naukowcy przewidują, że ruchy wznoszące, spowodowane uwolnieniem kontynentów od lodowego balastu, będą zachodziły jeszcze przez parę tysięcy lat. Przewiduje się „urośnięcie" północnej Europy, m. in. Skandynawii, jeszcze o 200 m i Karelii — o 250 m. **(b)**

Co słychać u pionierów w NRD?

NIESPODZIANKA

Uwe Funke, Michael Friese i Andreas Schon ze Szkoły im. Goethego w Gera, wojewódzkim mieście NRD, konstruują... elektronowe organy. Będą one gotowe jeszcze przed feriami. Konieczne są tylko drobne poprawki, sprawdzenie właściwej tonacji i niebawem ich klasa będzie miała własną dyskotekę.

Organy przydadzą się w czasie popołudniowych spotkań. Konstruktorzy zamierzają włączać je również w czasie dużych przerw. Uważają bowiem, że taniec na przerwie dobrze wszystkim zrobi, a już na pewno wyczerpie energię tych, co to zawsze rozrabiają na lekcjach.

Uwe, Michael i Andreas zamierzają przynieść organy do klasy w tajemnicy. Włączą je niespodziewanie — to dopiero będzie zaskoczenie! Na razie pracują nad instrumentem w pracowni elektronicznej Domu Pioniera im. Waltera Erdmanna.

Zdjęcie: **Jacek Łopuszyński**

Jesteśmy ciekawi, co w tym numerze uważasz za: DOBRE, LEPSZE, NAJLEPSZE. Wpisz tytuły artykułów lub ilustracji do kuponu, naklej na kartkę pocztową, wyślij pod adresem redakcji — Mokotowska 24, 00—561 W—wa.

OCENA	TYTUŁ
dobry	
lepszy	
najlepszy	

wiek . . imię . . . . .

ŚWIAT MŁODYCH — Harcerska Gazeta Nastolatków — Nr 144

Rośnie konto młodzieży

Dwa lata istnieje już FASM — Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. **Na jego koncie zgromadzono ponad 50 mln złotych!** Fundusz opiera się na prostych zasadach i młodzi pracownicy wykonują w swoich fabrykach i przedsiębiorstwach różnorodne prace, a wynagrodzenie za nie przekazywane jest w 80 procentach do dyspozycji kolektywów młodzieżowych, a reszta trafia na konto Rady Głównej i Rad Wojewódzkich FSZMP z przeznaczeniem na dofinansowanie imprez turystycznych, sportowych i działalności socjalnej. **(ej)**

REPORTER Świata Młodych

Zdarzyło mi się kilkakrotnie, że podczas samotnych wakacyjnych rajdów przechodziłem przez zupełnie niemal odcięte od świata wsie. Może trochę przesadziłem, ale do najbliższego miasteczka było niekiedy dobre kilkanaście kilometrów. Czasem dochodziło do tego, że traciłem orientację i trzeba było pytać o drogę. **Nigdy nie zdarzyło się, żebym nie otrzymał wyczerpującej odpowiedzi, łącznie z tym, że podprowadzano mnie do różnych miejsc, nakładając własnej drogi.**

Bywałem też w wiejskich sklepach. **Mimo dużych kolejek, zawsze otrzymywałem butelkę oranżady poza kolejnością. Nie wspomnę już o uprzejmości sprzedawczyni.** Ktoś powie, że w wiejskim sklepie sprzedawcy mają spokojną pracę, bo klientów mniej niż w mieście i można łatwiej zdobyć się na tę odrobinę uprzejmości. Nieprawda! Bywa, że jedna gminna spółdzielnia obliczona jest na zaspokojenie pierwszych potrzeb kilku tysięcy mieszkańców.

Uczmy się od wsi

Pewnego razu wracałem z jednego ze swych rajdów, a przystanku PKS jak nie było widać, tak nie było. Szedłem więc tak ze spuszczoną ze zmęczenia głową, aż tu słyszę za sobą gwałtownie hamujący wóz konny. Odskakuję więc odruchowo w bok. — Dokąd idziesz? — pada pytanie. Odpowiadam. **Po chwili siedzę już wygodnie na koźle.**

Innego razu udało mi się podsłuchać w gospodzie rozmowę dwóch wiejskich gospodyń. Jedna opowiadała drugiej o grupie nastolatków, których nocowała u siebie przez bodajże dwa tygodnie w swoich pokojach i w stodole. I jacyż byli owi **miejscy**, młodzi ludzie? Zaczęła się smutna opowieść o wulgarności, nikotynowo-alkoholowych nałogach, o zaniedbaniu podstawowych zasad higieny i dobrego wychowania. **Na koniec gospodyni zastrzegła sobie, że już nigdy nie wynajmie kwater żadnej miejskiej młodzieży i szczerze radziła to swojej sąsiadce. Komentarz jest w tym miejscu zbędny.**

Jak wynika z tych przykładów, wieś nie jest „dzika". Jej mieszkańcy to tacy sami ludzie jak my. Czasem można odróżnić starszego po jego gwarze, ale praktycznie nie sposób odróżnić po tym samym nastolatka.

O ludziach ze wsi w mieście często mówi się lekceważąco. Dlaczego? Zastanówmy się nad tym głęboko. **Bo mnie się wydaje, że możemy się od nich wiele nauczyć — serdeczności, spontanicznej uczynności i wyrozumiałości, rzeczy tak w mieście ostatnio rzadkich.**

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Przedstawiam dziś artykuł pt. „TORO, zagadkowe ciało kosmiczne", który jest z pewnością ciekawym głosem w naszej dyskusji o Układzie Słonecznym i wnosi do niej zupełnie nowy element. Szkoda, że autor nie podpisał się swoim imieniem i nazwiskiem.

Uwaga, Marek Nowak z Ujścia — temat „księżycowy" poruszaliśmy już w TOMIKU, tak więc z przykrością muszę twój list odłożyć do archiwum. Natomiast koledze Zdzisławowi Strojnemu z Chorzowa proponuję, aby poruszony problem rozwinął dalej. Postawiłeś w liście szereg pytań w rodzaju: „Dlaczego istnieje jeden wszechświat, a nie np. czternaście, lub dlaczego planety mają różne rozmiary", i niby to próbujesz na nie odpowiedzieć, ale w istocie pytania pozostały bez odpowiedzi. A może Czytelnicy na nie odpowiedzą?

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

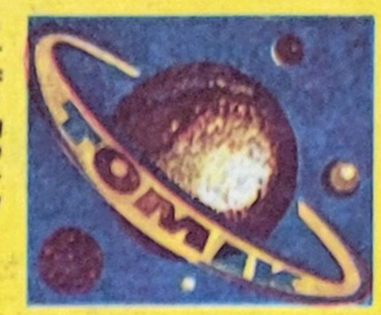

TORO

zagadkowe ciało niebieskie

ZBYT późno włączam się do dyskusji o układzie planetarnym, ale dopiero teraz znalazłem materiały, które mogłyby zainteresować Twoich czytelników. Materiały zaczerpnąłem z czasopisma „Płomienie" z 1973 r. Są to fragmenty artykułu pt. „Kosmiczna corrida".

Kilometry, a tym bardziej jednostki astronomiczne, nie potrafią już zmusić do galopu naszej wyobraźni. Np. Układ Słoneczny. Gdybyśmy wielkość tego układu wyobrazili sobie jako... płytę długogrającą, to w geometrycznym jej środku znalazłoby się Słońce. Obwód płyty — to orbita Plutona, a więc zgodnie ze stanem wiedzy — granica naszego układu. Saturn biegnie wokół brzegu naklejki. Orbita Ziemi to krawędź środkowego otworka. W otworku tym oprócz Ziemi i Słońca są jeszcze Merkury i Wenus, lecz nie tylko. Znajduje się „tam" tajemnicze ciało Toro! Toro — to okrzyk kibiców hiszpańskiej corridy: byk! A chociaż przestrzeń międzyplanetarna zamknięta orbitą Ziemi wokół Słońca nie bardzo przypomina arenę corridy, dziwne ciało niebieskie Toro rzeczywiście porusza się po niej jak rozwścieczony czerwoną kapą matadora, byk. Pędzi od Słońca w kierunku Ziemi, tuż przed nią zawraca, robi pętlę, daleko za jej orbitą skierowuje się z wolna ku Słońcu, nabiera rozpędu, a gdy na jego drodze znajdzie się spokojnie krążąca wokół Słońca Ziemia — znów zwraca się ku niej, aby w ostatniej chwili ponownie wywinąć kunsztowną pętlę.

Orbita Toro przypomina chyba najbardziej... zachodzące na siebie serca. W tej sytuacji trudno jest określić czy Toro jest jeszcze jednym księżycem Ziemi, czy też jeszcze jedną planetą Słońca.

To niezwykłe ciało niebieskie zostało odkryte w 1964 roku przez amerykańskiego astronoma S. Herricka z Uniwersytetu w Kalifornii. W listopadzie 1971 roku szwedzki fizyk H. Alfen obliczył, że średnica Toro nie może wynosić więcej niż 1,5 km. W tym samym czasie jego rodak, astronom L. Danielsson, i inny pracownik Uniwersytetu w Kalifornii, W. H. Jp, za pomocą odpowiednio zaprogramowanych komputerów obliczyli trajektorię, po której Toro się porusza. Z tych obliczeń wynika, że Toro dokonuje pełnego obiegu wokół Słońca w ciągu 1,6 roku.

Komputery, zaprogramowane na obliczenie niezwykłej orbity Toro, nieoczekiwanie zdradziły jeszcze jedną, tym razem zupełnie zaskakującą jego tajemnicę: Toro istnieje (albo przynajmniej wszedł na swą „obecną" trajektorię) zaledwie przed około 200 laty! Czy przedtem ciało to w ogóle istniało? A może krążyło po innej orbicie? Ale jeśli tak, to co (lub kto?) zmusił je do zmiany orbity? Jedna z hipotez pochodzenia Toro mówi, że ciało to należy do grupy planetoid krążących wokół Słońca między Marsem a Jowiszem. Ale zaraz nasuwa się pytanie: gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Jowisz, a gdzie Ziemia? Ale jest wytłumaczenie. Niektóre planetoidy, poddane wpływom różnych masywnych planet naszego układu, tak poważnie zmieniły orbity, że krążą wokół Słońca po ekscentrycznych elipsach, zbliżając się do naszej dziennej gwiazdy bliżej niż Merkury (np. Ikar). Dlaczego któraś z planetoid (np. Toro) nie mogła pewnego razu porzucić swego miejsca między Marsem a Jowiszem i przejść na nową trajektorię łączącą Ziemię ze Słońcem? Jeśli teoria ta jest prawidłowa, to czemu właśnie przed 200 laty Toro zmienił orbitę? I jeszcze jedno pytanie: co stanie się z „Bykiem" za 400 lat? Droga jego jest tak zawiła, że utrzymać się może na niej najwyżej 600 lat.

Według ostatnich obliczeń Toro raz na 8 lat zbliża się na odległość „zaledwie" 15 mln kilometrów od Ziemi. Ostatnie takie zbliżenie nastąpiło w sierpniu 1972 roku.

A może Toro to... obcy statek kosmiczny? Nic nie wiadomo. Jest to jeszcze jedna hipoteza pochodzenia Toro.

„1810 Pafnucy"

„Ucieczka" księżyców

Szanowny Panie Prezesie, Przeczytałem „Świat Młodych" nr 132 z dnia 4.XI.1973 r. W artykule „Tomika" pt. „Narodziny planet" A. Sokołowskiego zauważyłem błąd. Na rysunku są przedstawione planety, a pod każdą z nich podano liczbę ich satelitów. I tak Jowisz ma na tymże rysunku 11, a powinien mieć 12, Neptun ma jeden, powinien mieć dwa, Uran 4, a powinien mieć 5 księżyców. A może to nie błąd tylko zbiorowa ucieczka satelitów? W takim razie powinniśmy bardzo dobrze pilnować naszego Księżyca, bo a nuż i jemu znudzi się to krążenie i ucieknie? A drugiego w zapasie nie mamy. Na tym kończę list i łączę serdeczne pozdrowienia dla Pana i całej redakcji „Świata Młodych".

Leszek Kosik
ul. B. Bieruta 24 m. 2
74-400 Dębno Lub.

PS. Chciałbym jeszcze dodać, że jeśli kogoś interesują NOL (tzw. latające talerze) to powinien przeczytać „Magazyn Polski" nr 7 z lipca br. Dodam także, że interesuję się bardziej astrologią niż astronomią.

Leszek Kosik

Dziękuję Leszkowi, a także innym Czytelnikom za zwrócenie uwagi na ten fatalny błąd. Razem z Adamem Sokołowskim bijemy się w piersi. Przy okazji chciałbym dodać do uwag Leszka kolejne sprostowanie: otóż wg ostatnich danych Jowisz ma już 14 księżyców. Tego ostatniego, jak również poprzedniego satelitę odkrył amerykański astronom polskiego pochodzenia, pan Karol Kowal — o czym donosił w poprzednim TOMIKU Paweł Respondek i Jarosław Parasiuk 3 czerwca br.

PREZES

Znaczki TOMIKA otrzymują:

1. **Krzysztof Kasprzyk**, ul. Dzierżyńskiego 61/85, 32-700 Bochnia; 2. **Jacek Ludwiczak**, ul. Leszka Białego 13, 88-400 Żnin; 3. **Stanisław Matuszczyk**, Malerzowice PGR, 49-140 Łambinowice; 4. **Małgorzata Jabłońska**, ul. Gwardii Ludowej 21, 05-730 Żyrardów; 5. **Ryszard Zając**, ul. Harcerska 3a, 41-200 Sosnowiec; 6. **Tadeusz Dudek**, 22-302 Siennica Nadolna; 7. **Andrzej Ochociński**, ul. Dworcowa 16/9, 89-230 Piechan; 8. **Marian Sykała**, ul. Czerwona 73, 33-101 Tarnów; 9. **Mirosław Zdunek**, ul. 22 Lipca 15/14, 21-040 Swidnik; 10. **Wojciech Zagraba**, ul. Przechodnia 2, 21-040 Swidnik; 11. **Małgorzata Kowalczyk**, 08-470 Wilga 87, woj. siedleckie; 12. **Marek Gajdziński**, Oś. Piastowskie 52 m. 19, Poznań; 13. **Krzysztof Masiuk**, ul. Mickiewicza 125/19, 34-200 Sucha Beskidzka; 14. **Adam Zych**, ul. Fundamentowa 32 m. 45, 04-036 Warszawa; 15. **Dariusz Mykan**, ul. Polna 8, 17-300 Siemiatycze; 16. **Leszek Pęczak**, ul. Wspólna 2a/9, 25-003 Kielce.

Tak prawdopodobnie wygląda Uran widoczny z powierzchni jednego z pięciu jego satelitów — Umbriela. Na tle tarczy planety widać inny jej księżyc — Ariel, natomiast nieco ponad tarczą Urana — satelitę Miranda.

Zdjęcie: archiwum

— Pan ze wszystkimi tańczył, tylko ze mną nie. — Mówi do Jurka „pan", już porzuciła Wieśka, teraz próbuje swoich uwodzicielskich talentów na moim bracie. — Ja się na pana chyba pogniewam.

— Będę niepocieszony.

— Zatańczymy?

Odstawiają szklanki z nie dopitą herbatą i ruszają w pląsy. Beata dobrze tańczy i Jurek dobrze tańczy. Wszyscy na nich patrzą.

Ja tańczę z Markiem, który chwali tort, herbatę i chruściki.

— Dlaczego zaprosiłaś Wieśka?

— Bo on chodzi z Agnieszką — wyjaśniłam niechętnie.

— On jest w pierwszej liceum — konstatuje tak ponurym głosem Marek, jakby fakt, że ktoś jest w pierwszej liceum, był najważniejszym punktem oskarżenia.

— To co z tego?

— Ma przecież swoich kolegów. I koleżanki. Nie musiałaś go zapraszać. Nie pasuje.

— Ja też uważam, że nie pasuje.

— Ale go zaprosiłaś.

— Musiałam, bo on chodzi...

— On się podoba Beacie — rzuca Marek po momencie milczenia.

Jeszcze niedawno myślałabym, że jest to najzwyczajniejsze stwierdzenie, dziś odgaduję tajemnicę Marka, chyba dlatego, że ja też miałam (a może nawet jeszcze mam?) taki sam sekret.

— Zależy ci na Beacie?

— Coś ty! Ja tylko tak, no, rozumiesz. Ona się dzisiaj wydziwcza, jak nie wiadomo co.

— Ale fajnie wygląda.

Odwracając głowę Marek odpowiada:

— Jak dla kogo.

Między nami przeciągnięto cieniutkie, niewidzialne nici. Popatrzysz zwyczajnie i nic nie widzisz, po prostu kolega z klasy i koleżanka z klasy, ale jeżeli wpadłeś już na trop, to wiesz, że wcale tak nie jest, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Markowi zależy na Beacie, Agnieszce na Wieśku, Beacie na tym, żeby ją wszyscy podziwiali, a mnie? Ja sama nie wiem, na czym mi zależy, wszystko się poplątało, ważne i nieważne.

— Czy uważasz, że już uczyniłem zadość twojej prośbie — pyta bardzo głośno Jurek, tak głośno, że wszyscy go słyszą mimo muzyki i rozmów. — No, to koniec popisów choreograficznych, przynajmniej dla mnie.

Beata poprawia loki, chyba bolą ją nogi w tych niebotycznych pantoflach, bo bez protestu pozwala się usadowić przy stole.

— Pograjmy w dwadzieścia pytań — proponuje Jurek, który najwyraźniej przejął na siebie rolę gospodarza, widząc moją nieprzydatność jako duszy towarzystwa. — Umiecie?

Magnetofon gra dalej, a my bawimy się w dwadzieścia pytań.

— Żywe?
— Nie.
— Jest tutaj?
— Tak.
— Duże?
— Nie.
— Ciężkie?
— Nie.
— Mam to przy sobie?
— Nie.
— Ale ktoś tutaj ma?
— Tak.
— Czy to jest puszyste?
— Tak.
— Jasne?
— Tak.
— Peruka — krzyczymy chórem wraz z odgadującym.

Bo wszyscy, jakby się umówili, wybierają rzeczy, którymi się przyozdobiła Beata. Odgadliśmy wspólnie i sztuczne rzęsy, i bransoletki, i perukę. Beata niby się śmieje, ale jest jej chyba głupio. Dlaczego Wiesiek milczy jak zaklęty? Czy on w ogóle coś powiedział przez cały ten czas? Siedzi w kącie pokoju, daleko od Agnieszki, daleko od Beaty, wygląda samotnie i nieszczęśliwie. Co za głupstwa przychodzą mi do głowy! Czemu niby Wiesiek miałby być nieszczęśliwy i samotny?

C. d. n.

14

JONKA, JONEK? KLEKS!

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodoreczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-23-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa–Książka–Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00–561 Warszawa, ul. Koszykowa 8 A Telefony: Dyrektor 28-99-77, Dział Wydawniczy 29-15-22, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO I-8-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Maria Jaworska

Opracowanie graficzne: Mieczysław Teodoreczyk

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 141/7711 B-58
Nr indeksu — 35439/35444

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

MOŻE NIE, MOŻE TAK

14

EWA NOWACKA

Zupełnie nie myślę o tym, co zrobi, co powie mój brat, kiedy ukaże się z tak odmienioną twarzą. A tam, niech się ze mnie wyśmiewa, powie rodzicom, proszę bardzo, dzisiaj mi wszystko jedno.

W pokoju zgaszono górne światło, zapalono świece, ogromne cienie tańczyły po ścianach. Siedzieli na podłodze i słuchali piosenki, jednej z tych piosenek, które napędzają pod powieki łzy. Chociaż obco brzmiące słowa są niezrozumiałe, ale i tak wiadomo, że daleki głos śpiewa o czymś dobrze znanym, o czymś, co może spotkać i mnie, i ciebie, i każdego. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy cichutko przycupnęłam za plecami Kaśki.

– Madziu – dziwnie zabrzmiał ten szept, w szkole nazywano mnie Magdą, Magdziołem, starą, ale nie Madzią. Obejrzałam się ku szepczącemu, to był Wiesiek... – Madziu, wyjdź na korytarz.

Wyszłam za nim.

– Czego chcesz? – rzuciłam nieprzyjaźnie w mrok.

– Mała, nie wydziwiaj się. Po co ci to?

– Ty o czym?

– Dobrze wiesz.

On zauważył moją przemianę i chciał, żebym była z powrotem najzwyczajniejszą Magdą. Ucieszyłam się, to dobrze, że zauważył. Więc jednak warto było...

– Beacie bardziej do twarzy, prawda?

– Daj spokój z Beatą!

Wtedy coś powiedziało za mnie:

– Ja tego nie rozumiem. Chodzisz z Agnieszką, a...

Nie dokończyłam, bo przerwał mi prawie ze złością:

– Skąd wiesz, że chodzę z Agnieszką?

– Może nie?

– Według ciebie, jak się z kimś rozmawia, to zaraz jest chodzenie?

Przypomniałam sobie zwierzenia Agnieszki. Mogłam mu o tym powiedzieć, dla Agnieszki nie było to wcale żadne zwyczajne rozmawianie, ale nie powiedziałam nic.

– Mała, wytrzyj te mazaje. Głupio wyglądasz.

– Beata za to wygląda ładniej. Jej nie prosisz, żeby sobie wytarła twarz.

– Mała, tym razem tobie odskoczyła szajba. A w ogóle rób, co chcesz. Wolno ci.

Miałam ochotę jeszcze coś mu powiedzieć o Beacie, Agnieszce, Milenie, coś takiego, żeby zrozumiał, co o nim myślę. I niech on wreszcie przestanie do mnie mówić: „mała", małe są w przedszkolu. Od dzisiaj mam piętnasty rok i nie życzę sobie. Zaraz, zaraz. Powiedział do mnie: Madziu, Madziu. Ale za chwilę nazwał mnie małą...

Tylko już nie mam do kogo mówić, jestem sama w pustej kuchence. Nie, nie sama, bo pojawia się Jurek. Pstryknięcie kontaktu i kuchenkę zalewa białe, obojętne światło.

– Magdziol, gdzie jest ta herbata? – Spojrzał na mnie i aż zamrugał powiekami. – Coś ty z siebie zrobiła? Operetkowa diwa dla ubogich! Już to zmywaj!

– A dlaczego? Beata...

– Beata jest gościem i Beata nie jest moją siostrą. Jeśli ma ochotę wyglądać jak główna atrakcja podrzędnego kabaretu, jej sprawa. Ty nie będziesz robiła z siebie przedstawienia. Jeżeli się nie umyjesz, powiem mamie.

Jest to groźba niezwykła, Jurek nigdy na mnie nie skarży i ja nigdy nie skarżę na Jurka.

– No, trochę tempa! Jak się umyjesz, nalej herbaty. I wypraszam sobie te dramaty wielkich uczuć na kinderbalu. Myślałem, że masz więcej oleju w głowie.

Ze świeżo umytą twarzą wnoszę herbatę i ogromny półmich z chruścikami. Zgodnie z przypuszczeniem mamy stearyna z płonących świec zakapała obrus.

Znowu robi się głośno i prawie wesoło, tylko Agnieszka, pochmurna jak zimowy wieczór, dziękuje za herbatę i chruściki. Beata śmieje się głośno i dzwoni bransoletkami.

Ciąg dalszy na str. 7